

## Spójrz na mnie, Anatolijko

przełożył Miłosz Waligórski

Vukota pamiętał babcię Rinę jak przez mgłę, jeśli w ogóle ją pamiętał, a nie tylko znał z opowieści matki. Pierwszy jej obraz, jaki miał przed oczami, przedstawiał ją grzejącą się przy dużym żeliwnym piecu, z rękoma wyciągniętymi w stronę ognia i w białym czepku, takim samym, jaki w kreskówce zakładała do snu Oliwka Olejek. Na drugim obrazie babcia Rina sięgała po lichterz i ścierała z niego kurz. Jej palce drżały, sztywniały i unosiły się, jakby chciały wlecieć i zniknąć pod wysokim sufitem salonu. Trzeci obraz pokazywał złość: czepek przekrzywił się, a ona krzyczała ledwo dosłyszalnie, jakby każde słowo tłumila gruba powłoka pierza: *W moich czasach mężczyzna i kobieta spotykali się pod baldachimem, a nie pod kołdrą*. To było wszystko, niczego więcej o babci nie wiedział. Umarła, kiedy miał trzy lata i odtąd ani razu o niej nie pomyślał. Aż do lata 1992 roku, kiedy z miasta wyjechały pierwsze konwoje Żydów. Wtedy przypomniał sobie, że babcia Rina była Żydówką, a skoro ona, to i on. W świetle nowej sprawiedliwości otwierała się przed nim droga ucieczki.

Matka patrzyła na niego błędnym wzrokiem i powtarzała: *co ty, dziecko, o tym wszystkim możesz wiedzieć, a ojciec Savo tylko wruszał ramionami, palił papierosa za papierosem i milczał, bo po tym, kiedy pierwsze granaty oduczyły go zaczynać każde zdanie słowami „my, Serbowie”, nie miał już nic do powiedzenia. Nic nie wiem, ale jadę do Izraela*, odpowiadał Vukota i przywoływał w myślach trzy obrazy babci Riny, żywiąc przekonanie, że w końcu uda mu się zobaczyć w nich coś, co dotąd pozostawało tajemnicą, a pomogłoby mu, człowiekowi bez tożsamości, odkryć w sobie Izraelitę.

*Jestem wnukiem Riny Mantovej*, powiedział i pokazał poźółtkły kartonik, na którym widniało zdjęcie babci. W innych okolicznościach karta członkowska La Benevolencii nie wystarczyłaby za dowód pochodzenia, ale w gminie żydowskiej nieszczerólnie interesowano się, kto w tej wojennej paranoi jest Żydem, a kto nie, więc na listę od razu trafiali wszyscy, którzy się zgłaszali. Po opuszczeniu miasta ludzie i tak określą się według własnego uznania i nikt nie będzie poszkodowany. Liczyło się tylko ratowanie życia, a w tym nie ma przecież nic złego.

Kiedy autobus dojechał do Makarskiej, Vukota zapytał: *A jak dostaniemy się do Izraela?* Pan Levi odpowiedział zaskoczony: *Ty naprawdę chcesz do Izraela?... A dokąd indziej miałbym jechać?* Vukota nie chciał lecieć do Ameryki czy Kanady, w ogóle przerażało go życie w obcym kraju, ale pomyślał, że jeśli babcia Rina była Żydówką, to i w nim musi być coś żydowskiego, coś, co w Izraelu rozwinie się, okrzepnie i w magiczny sposób sprawi, że jak prawdziwy Żyd poczuje się tam u siebie. Kiedy opuszczasz dom, musisz być kimś, musi cię chronić jakiś papier i twoje imię na nim. Dopóki byłeś

wśród swoich, mogłeś być Nikim, teraz jednak musisz być Kimś. A Vukota panicznie bał się, że nie otrzymał daru bycia Kimś, bo skoro nad Sawą nie potrafił być Serbem, to może w ogóle nie umie być kimkolwiek poza sobą, czyli Vukotą, a jeżeli jest tylko Vukotą, to przepadł z kretešem.

Do Izraela dotarł dwa miesiące później. Na lotnisku czekało na niego dwóch mundurowych. Odwieźli go do trzeciego, który wypytał się o wszystko i wystawił potwierdzenie, że przyjezdny nie stanowi zagrożenia. Potem kazał iść do czwartego. Ten z kolei dał Vukocie pięciominutowy wykład o państwie Izrael, wręczył mu klucz, dowód tożsamości i czek pozwalający na przeżycie miesiąca czy dwóch. *Witamy, dalej radź sobie sam*, powiedział, poklepał Vukotę po ramieniu i odprawił go w świat.

*Umiem śpiewać i trochę grać na gitarze*, powiedział Albertowi, który już drugiego dnia po jego przyjeździe pytał, jak Vukota zamierza znaleźć pracę. Albert był ze Zrenjanina, mieszkał w Izraelu trzy miesiące, a teraz w wolnym czasie miał zwracać uwagę na postępy w socjalizacji dokooptowanego współlokatora. *Tutaj na nic ci się to nie zda. Umiesz coś jeszcze?... Może mógłbym być kelnerem... No to zostań kelnerem, byle szybciej. Dobrze ci radzę. Chyba że chcesz odpaść na starcie.*

Vukota szukał pracy tygodniami, ale jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu – kelnera nikt nie potrzebował. Albert tylko się uśmiechał, *eh, wy, Bośniacy*, i dalej zatruwał mu życie. W jego towarzystwie Vukota ani na chwilę nie zapominał, że stoi nad przepaścią, pod nogami chwieje mu się grunt i lada dzień nie będzie miał nawet na jedzenie. Nie udało mu się zostać kelnerem ani, co gorsza, Żydem, a już na pewno nie takim, jakim chciał się widzieć, kiedy pierwszy raz pomyślał, że świętej pamięci babcia Rina może uratować mu skórę. Poza tym to *eh, wy, Bośniacy*, brzmiało w jego uszach jak eksplozja granatu, najpierw w oddali, a potem, za każdym powtórzeniem tych słów, coraz bliżej i głośniejsze. Kiedyś nie wytrzyma, wybuchnie i temu *eh, wy, Bośniacy* da właściwą odpowiedź. A jak ta właściwa odpowiedź miałaby wyglądać? Nie wiedział, ale narastało w nim poczucie, że wołałby spoliczkować Alberta, niż znaleźć na ulicy milion dolarów.

*Zdaje się, że to coś dla ciebie*, Albert położył przed nim poranną gazetę otwartą na stronie z ogłoszeniami i pokazał anons, w którym pewne studio filmowe szukało chłopców i dziewcząt do komedii muzycznej. Kandydaci, najlepiej z krajów Europy Wschodniej, powinni umieć dobrze śpiewać. Vukota bez słowa spisał numer telefonu, udając, że jest mu wszystko jedno, ale w środku aż zadrżał ze szczęścia. Jeszcze nie chwycił za telefon, a już wyobraził sobie, jak podjeżdża w sportowym mercedesie pod hotel Hilton i przechodzi przez szpaler dziewcząt, które mdleją na lewo i prawo niczym brzozy pod tchnieniem Najwyższego. Odwiedzi wtedy Alberta w jego zatęchłym pokoiku, wyciągnie z kieszeni gruby plik dolarów i będzie okładał go nim po czole, powtarzając przy tym *eh, my, Bośniacy*.

Zadzwonił i zaraz po drugiej stronie usłyszał czyjś głos, więc nawet nie zdążył zdziwić się samym sobą, że oto dzięki Albertowi pierwszy raz w życiu stał się kimś. W jednej krótkiej i błahej fantazji był tym, kim pod sklepieniem niebieskim tego czasu żaden człowiek

być nie chciał – Bośniakiem, reprezentantem *my, Bośniacy*. Na szczęście nie zdawał sobie z tego sprawy i spokojnie odpowiadał na zadawane pytania: tak, jest z Europy Wschodniej, tak, pięknie śpiewa, miał zespół, jaki i gdzie?, no w Europie Wschodniej, grali punka, ale umie śpiewać też pieśni bośniackie, nie ma żadnego problemu...

Przed zielonymi, tapicerowanymi drzwiami stało kilkaset dziewcząt i chłopców. Wywoływano ich według jakiejś niejasnej logiki, najpierw pojedynczo, a potem, kiedy ktoś zrozumiał, że przesłuchaniom może nie być końca, piątkami. Każdy miał swój numer. Vukota, numer 676, czuł się z tym dziwnie, wszystko okazało się bowiem zupełnie inne, niż myślał. Zamiast odnaleźć w sobie Izraelitę, dorobił się numeru.

Po czternastu godzinach gruba ciemnowłosa sekretarka krzyknęła po angielsku: *Od 675 do 679, kto nie wchodzi, traci szansę*. Vukota, tryumfalnie trzymając swój numer nad głową, przecisnął się do drzwi. Razem z nim weszło trzech chłopaków: dwóch – co do tego nie było wątpliwości – Rosjan i jeden, na oko, Rumun oraz zaskakująco wysoka dziewczyna, niebieskooka blondynka jakby żywcem wyjęta z opowiadania Isaka Samokovliji. Za stołem siedziało trzech mężczyzn, środkowy nosił okulary à la Steven Spielberg, zatem musiał być reżyserem – przynajmniej tak wydawało się Vukocie. Wskazał palcem pięć krzesel, usiedli, zmierzyl ich spojrzeniem i przewrócił oczami, na co gruba sekretarka zareagowała gromkim *przerwa!* Vukota chciał się podnieść, *siedź!*, Vukota usiadł. Reżyser i asystenci wyszli tylnymi drzwiami. Za nimi podreptała gruba sekretarka.

Pięcioro kandydatów przez pół godziny nie ruszyło się z miejsca. Dziewczyna spłótła dłonie na podółku i patrzyła w podłogę. Ani drgnęła, omal nie oddychała, siedziała w skupieniu i wyglądała, jakby przypominała sobie jakąś dawno słyszaną piosenkę, którą chciałaby głośno zaśpiewać bez względu na to, gdzie i w jakim towarzystwie się znajduje. Rosjanie – rzeczywiście okazali się Rosjanami, i to wyjątkowo gadatliwymi – najpierw coś między sobą poszeptowali, a potem zaczęli się śmiać i donośnie rozmawiać, opluwając przy tym raz lewy, raz prawy policzek siedzącego między nimi Vukoty. Ten patrzył tępo przed siebie zagubiony i osamotniony jak nigdy przedtem ani nigdy potem. Myślał o tym, że może jednak byłoby lepiej, gdyby nie przypomniał sobie babci Riny, gdyby w ogóle nie istniała. Wówczas nie przyszedłby mu do głowy pomysł wyjazdu i dalej siedziałby w domu, skoro nie umie wyjeżdżać jak inni. A jak wyjeżdżają inni? Na to pytanie nie znajdował odpowiedzi, ale był przekonany, że muszą wyjeżdżać jakoś lepiej, bo jeśli wyjazdy miałyby wyglądać tak jak ten jego, to wszyscy zostawaliby w mieście i cierpliwie czekali na swoją kulę czy granat.

Nie chcąc rozczulać się nad własnym losem, Vukota zrobił to, co w takich sytuacjach zawsze poprawia nastrój – kątem oka spojrzął na dziewczynę. Zaczął ją obserwować tak, jak mężczyzna obserwuje kobietę. Była naprawdę piękna, w typie tych, w których nie masz odwagi, ale i okazji się zakochać, bo zawsze mijają cię obojętnie, kiedy ty przejęty bólem, najprawdziwszym bólem w okolicy serca, stoisz i patrzysz na nie oniemiały. Myślisz o nich i nie możesz oprzeć się wrażeniu, że są niczyje, po pierwsze dlatego, że widzisz je same, a po drugie, że nie potrafisz sobie wyobrazić nikogo, kto by zasłużył na ich względy.

A ona Rosjan jakby nie słyszała. Próbowwała przypomnieć sobie swoją piosenkę i wpatrywała się w jeden punkt napięta jak struna gitary, nie, nie gitary!, raczej jakiegoś innego instrumentu, jakiego Vukota nigdy nie miał w rękach, może cytry? Tak, była napięta jak struna cytry. Tymczasem on, wzięty w krzyżowy ogień rosyjskich śli-notoków, starał się odgadnąć, z jakiego może być kraju, przy czym nie mógł oprzeć się wrażeniu, że takiego kraju nie ma nie tylko w Europie Wschodniej, lecz w ogóle w żadnych innych Europach tego świata, czy to Wschodnich, czy Zachodnich, bo jakiz istniejący kraj pozwoliłby na to, żeby taka istota w jakimś tam Izraelu stała się numerem 678.

Przestał rozmyślać nad swoim życiem. Zrobiło mu się wstyd, że poświęca temu uwagę, zamiast od początku strugać bohatera, który tę jasnowłosą piękność zrodzoną z fantazji Samokovlijii, jedyną w swoim rodzaju blond Żydówkę, ratuje z opresji i wyrwa ze szponów złego reżysera. Wyobraził sobie, że wstaje, podchodzi do niej, łapie za rękę i wyprowadza na zewnątrz, ale zaraz odezwał się w nim mały Vukota, żalosny demon ostrożności, szepczący w popłochu, żeby za żadne skarby tego nie robił, nie podchodził ani do tej, ani do żadnej innej kobiety, bo ona i tak nie ruszy się z miejsca i na marne będzie ją ciągnął za ramię, szarpiąc jej ciałem, jakby z nieba dziecięcego pokoju próbował zerwać gwiazdę, która nie jest jego. Vukota pojął, co demon chce mu powiedzieć: jeśli podejdzie do dziewczyny i chwyci ją za rękę, skończy w domu wariatów. Zamiast za Żyda, uznają go za szaleńca.

Spróbował oderwać od niej wzrok. Spojrzał w drugą stronę, Rosjanie bez przerwy go opluwali, więc lekko wychylił się i zobaczył małego Rumuna. Zupełnie o nim zapomniał – siedział w bezruchu z półotwartymi ustami i jak urzeczoną patrzył na dziewczynę. *Zamrugałbyś chociaż, ofermo*, powiedział Vukota. Zaskoczył go własny głos, ale na szczęście nikt go nie usłyszał, a już na pewno nie Rumun, który, zamarty w stuporze, pozostawał niewrażliwy na to, co działo się wokół. Chwata Bogu, że nie mieliśmy takiego socjalizmu, pomyślał Vukota i pocieszony odwrócił się w stronę jasnookiej piękności. Rosjanom ani na chwilę nie zamykały się usta, więc obustronny ostrzał w dalszym ciągu chłostał Vukotę gradem wydzielin, lecz jemu, niczym bohaterowi powojennych piosenek, nie straszne były ni deszcz, ni pioruny: stał w kurtce przeciwdeszczowej w samym środku zrujnowanego miasta, miasta, po którym nie zostało nic; tego dnia, jak kiedyś, w Breście deszcz padał bez przerwy, a on chciał poznać jej imię, wykrzyknął je głośno, by w końcu go zauważyła i chciał wiedzieć, skąd jest, by zwrócić się do niej słowami: *W porządku, moja droga, chodźmy już stąd, podre swój numer, a ty podrzyj swój i jedźmy do twojego, jakkolwiek by się nazywał, kraju, do twojego miasta, gdzie znów zupełnie przypadkowo będę mógł spotkać cię na ulicy.*

Weszła gruba sekretarka, wrzasnęła cicho *tam!*, i rosyjska nawałnica ustała. Reżyser i asystenci zajęli swoje miejsca, *numer 675*, powiedział jeden z nich. Rumun zerwał się na równe nogi i nareszcie zamknął usta. *Z jakiego jesteś kraju?*, spytał asystent. *Z Albanii*, odpowiedział mały Rumun, który, okazało się, wcale nie był Rumunem. *Z Albanii*, zdziwiła się cała trójka, zdziwił się i Vukota. Skąd Żydzi w Albanii? Zresztą nieważne, mały i tak nie miał pojęcia o śpiewaniu. Nie minęło dziesięć sekund, a reżyser mu przerwał.

Sekretarka odprowadziła go do wyjścia i na odchodne rzuciła słowa pociechy: *W razie czego zadzwonimy do pana.*

Następny był Vukota. *Bośnia i Hercegowina*, odpowiedział asystentowi. *Śpiewać*, krzyknęła sekretarka, a on bez zastanowienia zaintonował pierwszą piosenkę, która przyszła mu do głowy: *Spójrz na mnie, Anatolijko, na wszystkie świętości, pozwól bym miłosne pieśni, wyspiewywał ci, nakarmię cię migdałami, byś ładnie pachniała, napoję miodnym nektarem, byś mnie pokochała*, spojrzął w stronę dziewczyny, patrzyła na niego, rękoma trzymając się krzesła, *rude włosy masz dziewczyno, czy ci ich nie żal*, patrzyła, a jej oczy szklily się, jakby ktoś przez pomyłkę napuścił do nich morze, *nawet gdyby było, i tak bym nie chciała, byś ich zapach miał*, Boże, ona zna tę piosenkę, otwiera usta do śpiewu, uchyla je nieznacznie, jakby tylko ziewała, by nikt nie widział, a jednak śpiewania nie da się ukryć, słowa owszem, słowa mogą być niewypowiedziane, ale ze śpiewem to nie takie proste..., *jakże białe twoje lice, czy ci go nie żal*, nie, niemożliwe, przecież spotkałby ją w Sarajewie, a nie spotkał, na pewno. Z jej oczu lało się morze łez, spływało po policzkach, wypełniało całą salę, zatapiało Vukotę i wszystkich pozostałych, ślepych na to, co się dzieje i zupełnie nieświadomych, że wokół wzbierają wody i morze pokrywa pustynią, bezmiar kurzu i ciężkich obcych głosów. *Wystarczy*, powiedział reżyser. Vukota chciał usiąść, *nie, panu już dziękujemy, jutro proszę spodziewać się telefonu*, został pan przyjęty, gruba sekretarka pokazała palcem drzwi. Obejrzał się jeszcze za siebie, chciał coś powiedzieć, ale cóż zdążyłby powiedzieć, kiedy go wyganiali.

*Cześć*, spojrzął na nią ostatni raz. *Cześć*, odpowiedziała cicho, tak, że Vukota nawet nie usłyszał jej głosu. Chciał jeszcze raz się odwrócić i rzucić *nie mamy czasu na słowa, od razu musimy zaczynać*, ale nie odezwał się, bo gdyby był tak szybki, gdyby w każdej chwili robił to, co powinien zrobić, nigdy by nie wyjeżdżał i nie miałby dokąd wracać. Wyszedł, w poczekalni siedziało jeszcze około dziesięciu młodych dziewczyn i chłopców. Vukota oparł się o ścianę i czekał. Zaraz pojawił się też Rosjanin numer 677 i Rosjanin numer 679.

Gruba sekretarka wezwała następną grupę, a dziewczyna jak nie wychodziła, tak nie wychodziła. Vukota czekał i czekał, dopóki ostatni kandydaci nie opuścili sali. Wtedy zrozumiał, że z jakiegoś powodu dziewczyna wyszła tylnymi drzwiami, tymi dla reżyserów i sekretarki.

Wracał do mieszkania, było gorąco, na pewno cieplej niż kiedykolwiek w Sarajewie. Czas włókł się wolno, dużo wolniej od jego kroków. Vukota szedł przez Tel-Awiv jak ze zdjęcia, na którym nie ma nikogo poza chłopcem toczącym metalową obręcz między wysokimi opustoszałymi blokami. Na ulicy być może nawet było tłoczno, ale on nie mógł tego wiedzieć, ponieważ złym wyjściem, drzwiami prowadzącymi na drugi koniec świata, do rzeczywistości na zawsze dla niego niedostępnej, wyszła ona – ta, o której pomyślał, że należy do tego samego plemienia co on i dlatego jest mu przeznaczona.



Fotografia: Urszula Kubicz-Fik, *Wojna o echo*, Teatr Baj Warszawa 2006 (Królowa Furioso)